



Kryminał z myszką

87

Zemsta wilka

Anna
Kłodzińska

Anna Kłodzińska

ZEMSTA „WILKA”

Kryminał z myszką – Tom 87

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2023

ISBN: 978-83-67769-53-2

Copyright © Christofer Kłodzinski

Pierwsze wydanie: MON, Warszawa 1990, seria „Labirynt”

Prolog

Czekał... Już nie jak dawniej – cierpliwie, z niepokojem, lecz niepokojem pomieszanym z wyrozumiałością, na pograniczu tolerancji. Młoda, o tyle młodsza... Jeszcze do niedawna kajał się sam przed sobą, bo wiedział, że nie jest taki, jakim go kiedyś poznała i jaki starał się być. Dla niej.

A teraz wszystko, co było w nim dobre, dziwnie skarłało. Wyłaziły na powierzchnię stare, zda się umarłe już sprawy, odżywały, domagały się kontynuacji. Tłumił to w sobie, odpychał. Ale wystarczyło jakieś nagłe wspomnienie, kilka zdań, zapomniana prawie twarz, aby cała przeszłość wracała.

Czekał więc, krążąc po mieszkaniu. Nieruchomiał na każdy szelest, kroki na schodach, na przejeżdżający autobus, odgłos ruszającej windy. Mijały godziny. Już nie patrzył na zegarek, już było mu obojętne, czy to dopiero północ, czy któraś nad ranem. Ulicę ogarnęła senna cisza. Nerwowym ruchem sięgnął po butelkę, nalał pół szklanki. Który to już raz dzisiaj? Pił dużymi łykami, ale wciąż nie czuł działania alkoholu, choć wolałby upić się do nieprzytomności, zwalić na tapczan i o niczym nie wiedzieć. Wtedy mógłby sobie wmówić, jak od tyłu nocy, że wszystko jest okay. Ale dziś wódka nie działała. Wciąż był obrzydliwie trzeźwy, nerwy miał napięte do ostateczności. Miotał się od okna do okna, kopnął krzesło, złośliwie stojące na drodze, splunął na piękny afgański dywan.

Wreszcie z ulicy dobiegło trzaśnięcie drzwiczek samochodu, potem ściszone głosy. Dopadł najbliższego okna, rozchylił firanki. Stała tam na dole, obok niej mężczyzna w jasnej kurtce i z gołą głową: rysów twarzy nie widział, ale poznał od razu w świetle latarni te gęste, wijące się kasztanowate włosy i sylwetkę smukłą, wysoką. Mówili coś do siebie, śmiali się, pocałowali. Potem on wsiadł do szarego volkswagena, jeszcze wychylił się przez opuszczoną szybę, rzucił kilka słów. Kiwnęła głową, pomachała ręką. Wóz ruszył. Patrzyła za nim chwilę, zanim odwróciła się i weszła do bramy.

Usłyszał jęklivy szum windy. Zgrzyt kluczy w drzwiach. Lekki stuk bucików, ustawianych w przedpokoju. Wiedział, że teraz wkłada miękkie pantofle, spogląda w lustro, uśmiecha się do wspomnień tej nocy. Wszystkich nocy spędzonych poza domem... Weszła do swojej sypialni, ciemnej, bo zdążył zgasić światło. Krzyknęła wystraszona, kiedy rozbłysło, oslepiając ją na sekundę. Potem go dostrzegła.

– Gdzie byłeś? – spytał, przeciągając słowa.

– Dlaczego nie śpisz? – odpowiedziała pytaniem. – Idź do siebie.

– Gdzie byłeś? – powtórzył. Wyczuła w jego głosie coś, co ją zastanowiło, nakazywało zachować czujność.

– U znajomych. – Siadła przed toaletką, zaczęła zdejmować pierścionki i układać je na różowej tacce pod lustrem.

– Jakich znajomych?

Wzruszyła ramionami.

– Moich.

– Wróciłaś taksówką?

– Przecież nie pieszo. Noc.

– Sama?

– Nie, z kierowcą! – rzuciła rozgniewana tą niecodzienną indagacją. – O co ci chodzi? Idź spać.

– A ten kierowca to kto?

Podchodził do niej powoli, chwiejąc się na nogach. Zobaczyła w lustrze żółtawe, zmrużone oczy i wykrzywioną złością twarz z zaciśniętymi ustami. Ten grymas i gęsty zarost sprawiał, że jego twarz upodobiła się teraz do psiego albo wilczego pyska. Odczuła

przelotny niepokój, ale gniew wziął w niej górę. Do tej pory zawsze robiła, co chciała, nie liczyła się z nim. Więc skąd dzisiaj ta scena?

– Upiłeś się – mruknęła ze złością, nabierając trochę kremu. – Wynoś się.

Nie zwrócił na to uwagi. Stał tuż za jej plecami, czuła przyspieszony oddech, przesiąknięty alkoholem. Westchnęła z irytacją.

– Ten kierowca, który cię odwiózł, to kto?

– Szofer – prychnęła wzgardliwie. – Mam swego szofera, nie wiedziałeś?

Patrzył teraz w lustro, które odbijało tak wyraźnie, tak straszliwie wyraźnie ich twarze. Przyglądał się jej wspaniałym, błękitnym jak czyste niebo latem, teraz błyszczącym gniewem oczom, dotknął palcami jasnych, puszystych włosów, opadających na ramiona. Po raz setny, może tysięczny pomyślał z bolesnym zdumieniem: jak to się stało, że taka śliczna dziewczyna wyszła właśnie za niego? Dlaczego to zrobiła? I po raz setny, może tysięczny odpowiedział sam sobie: pieniądze. Bo on miał pieniądze. Dużo.

Poczuła jego palce na włosach, wzdrygnęła się i odchyliła głowę.

– Nie dotykaj mnie! – krzyknęła ze złością. – Śmierdzisz wódką.

Umilkł na moment, a potem zapytał:

– To znaczy on nie pije?

– Jaki „on”?

– Ten, który odwiózł cię szarym volkswagenem. Ten wysoki w jasnej kurtce. Jemu pozwalasz się dotykać? To z nim teraz sypiasz?

– Nie twoja sprawa – odrzekła. – Śpię, z kim chcę.

– A ja? – zapytał i zaraz tego pożałował.

– Ty? – Wybuchnęła śmiechem. – Popatrz w lustro. Przyjrzyj się mnie, potem sobie. Nie para z nas. I wynoś się. Masz swój pokój, ja chcę się położyć. Słyszysz?

Nie zdążyła uchylić głowy. Mocne, bezlitosne palce zaczęły zaciskać się na jej szyi. Ogarnął ją dziki strach, zrozumiała, że musi ratować życie. Oszałał! – pomyślała, zrywając się z krzesła. Nie puścił jej. Przewrócił na dywan. Nie był już sobą, a może przeciwnie, może właśnie teraz doszła do głosu jego prawdziwa natura, od wielu lat starannie skrywana...

– Tak będzie lepiej – mówił powoli, zacinając się. – Ani z nim, ani z żadnym. Jesteś moją własnością i zrobisz z tobą to, co chcę. Nie będziesz miała nawet pogrzebu. Ani grobu. Nic. Dziwka! Szmata!

Rozdział 1

W drugiej połowie sierpnia woda w tej małej zatoczce była tak ciepła jak rzadko kiedy w Bałtyku. Ale i sierpień wydawał się trochę niezwykły: dni pełne gorącego słońca, bez kropli deszczu, noce jak gdzieś na południu kontynentu, we Włoszech czy Jugosławii. Zaczęła nawet doskwierać susza. Las, który ogarnia niemal całą wyspę Ingarö, pachniał rozgrzanym igliwem, a sarny z rezerwatu podchodziły coraz bliżej ogródków działkowych, wyskubując sałatę, fasolkę i co tam jeszcze rosnęło na małych, starannie uprawianych grządkach.

Jerzy przepłynął zatoczkę wszerek, potem wzdłuż, wyznaczwszy sobie wymyśloną granicę w miejscu, gdzie woda stawała się głębsza, chłodna i uciekała na otwarte morze. Wyszedł potem na urwisty brzeg, usiadł na wygrzanym słońcem kamieniu i zapatrzył się w daleki horyzont. Z żalem pomyślał, że to ostatni dzień urlopu. Wspaniałego, parotygodniowego urlopu u gościnnych Szwedów na leśnej wyspie, która tak bardzo spodobała mu się i podczas pierwszej tu bytności, i która nie straciła nic ze swego uroku, kiedy odwiedził ją po raz trzeci. Ingarö... Mój Boże, zaledwie sześćdziesiąt kilka kilometrów kwadratowych, nie ma jej na wielu mapach, nie opisują w przewodnikach turystycznych. Za

mała, bez starej architektury, żadnego muzeum; jakiś skromny kościółek protestancki z pogodnym cmentarzem, asfaltowe wąskie uliczki, rozbiegające się po wyspie, dwie (może trzy?) linie autobusowe. I trzydzieści pięć kilometrów do Sztokholmu, przez most, podnoszony wtedy, kiedy kanałem przepływał biały stateczek.

Jerzy powiedział kiedyś Svenowi, że Ingarö to prawdziwe чудо; cisza i leśne powietrze. Sven, popatrzywszy na polskiego przyjaciela z rozbawieniem, odparł, że przecież mieszka tutaj dwa tysiące ludzi, przy każdym drewnianym domu stoi volvo albo toyota, więc nie taka tu znowu cisza ani pustkowicie. Tym niemniej rozumiał i podzielał zachwyt Jerzego, choć na swój szwedzki sposób wyrażał go spokojniej, bardziej powściągliwie. Zresztą miejscowi przyzwyczaili się do wyspy.

Szkoda, że jutro muszę wracać – westchnął. Kąpielówki wyschły, nałożył więc na nie dżinsowe spodnie, koszulę przewiesił przez plecy i szedł tak leśnymi ścieżkami, opalony na brąz, pogwizdując jakąś melodię.

Kiedy wydostał się na ulicę, zobaczył niebieską toyotę, zaparkowaną za barierą, Sven pomachał do niego, krzyknął coś tam po swojemu, zwykle była to mieszanina szwedzkiego i angielskiego, bo miał żonę Angielkę i tak w domu rozmawiali. Jerzy, choć znał nieźle oba języki, miewał czasami trudności ze zrozumieniem tego, co mówią...

Włożył koszulę, usiadł obok przyjaciela.

– Żegnałem się z wyspą – mruknął trochę zawstydzony. W głębi duszy był właściwie romantykiem, bał się, że Sven, północny typ o chłodnym umyśle, wyśmiej go. Ale przyjaciel kiwnął głową, jakby pochwalał jego zachowanie. Dodał gazu, toyota pomknęła cicho szeroką szosą pomiędzy polami i lasami. Na ogrodzonej łące pasło się stado koni; były nieduże, silne, o błyszczącej sierści i kudłatych grzywach.

Dom Svena Anderssona i jego żony Margarety niemal nie różnił się od innych; wszystkie były drewniane, całkowicie zelektryfikowane (kuchnia, kaloryfery, ciepła woda), pomalowane na brązowo lub żółtawo z białymi ramami okien. Wyglądały jak domki z piernika, zapamiętane z ilustracji w dziecięcych książkach z bajkami. Sven na swojej działce założył spory ogród, pielęgnowany głównie przez Margaretę; jedli „własne” jarzyny, mieli trzy małe jabłunki, które w zeszłym roku dały tylko sześć owoców, ale teraz wisiało ich chyba z sześćdziesiąt.

Na pożegnalną obiado-kolację Margareta przyrządziła szczupaki, zapiekane z mnóstwem przypraw, jabłkami i cukinią. Na deser podała krem czekoladowy. Pili australijskie wino, potem kawę. Spoglądali na siebie trochę markotnie, żałując, że to ostatni wieczór.

– Do następnego lata! – powiedział Sven, unosząc w górę kieliszek.

– Jeżeli wam się jeszcze nie sprzykrzyłem – mruknął Jerzy, ale że zapomniał, jak to będzie po szwedzku czy angielsku, wymówił ostatnie słowo po polsku. Tamci wybuchnęli śmiechem. Słowo było dziwne, szeleszczące jak jesienny liść.

Siedzieli do późnej nocy najpierw na werandzie, potem w największym pokoju, pełnym kwiatów i roślin, z jedną ścianą zastawioną, jak mawiała Margareta, „techniką”: telewizor, kolumny głośnikowe, wideo, gramofon, magnetofon, mnóstwo płyt i kaset. Anderssonowie przez pięć dni w tygodniu dojeżdżali do pracy w Sztokholmie, zarabiali nieźle, na działkę i dom zaciągnęli w banku spory kredyt. Żyli więc wygodnie, w sposób ustabilizowany. Tej stabilizacji Jerzy zazdrościł im szczerze. Sam, jako specjalista-elektronik w jednym z warszawskich przedsiębiorstw, nie mógł narzekać na biedę, bo zarabiał ponad czterysta tysięcy, a nie miał żony ani dzieci. Nerwy zżerał mu jednak ciągły niepokój polityczno-ekonomiczny w kraju i obawa przed jutrem.

– Kiedy ty się wreszcie ożenisz? – pytała czasami Margareta.

– Kiedyś tam – odpowiadał. Na razie wystarczyły mu przelotne sympatie. Dopiero co przekroczył trzydziestkę i sądził, że na małżeństwo jeszcze przyjdzie czas.

Poszli spać o północy. Jerzy długo nie mógł zasnąć. Przewracał się na tapczanie, palił, nastawił cicho radio na Warszawę, ale przeszkadzały trzaski, widocznie gdzieś przechodziła burza. W końcu narzucił kurtkę, na palcach wyszedł z domu, usiadł na schodach i słuchał szumu drzew, a może był to również daleki szum morza... Nazajutrz wszyscy wstali wcześniej, bo samolot odlatywał z lotniska w Arlandzie koło dziesiątej, ale do tej Arlandy trzeba było przejechać kilkadziesiąt kilometrów – przez cały Sztokholm i jeszcze drugie tyle.

Wyjechali we trójkę; Margaretę wysadzili przy Kungsgatan, gdzie pracowała w jednym z biur turystycznych. Na lotnisku czekał już polski samolot, jak poprzednio był to Tu 134-A. Jerzy miał ze sobą tylko dużą torbę podróżną, ocenioną przez celników jako bagaż podręczny. Nawet nie kazano mu jej otwierać.

– A gdybym tam wsadził granat? – zażartował.

Zamiast odpowiedzi Sven wskazał mu mały „tunel bezpieczeństwa”, przez który torba przesunęła się, nie wywołując alarmu. Pożegnali się serdecznie, z odrobiną wzruszenia. Czy to wiadomo, co będzie za rok? Jerzy zajął miejsce w samolocie, zapiał pas. Wiedział, że Sven nie odjedzie z Arlandy, zanim Tu 134-A nie wzbije się w powietrze. Tak się kiedyś półżartem umówili; tak też było, kiedy Sven po wizycie w Warszawie odlatywał z Okęcia. Jerzy stał wytrwale na długim tarasie, zanim nie zniknęła mu z oczu sylwetka samolotu.

Teraz, gdy wyszedł na płytę lotniska, ogarnął go z miejsca straszliwy żar, od paru dni panujący wszechwładnie w rodzinnym kraju. W Szwecji, owszem, było bardzo ciepło, ale tutaj po prostu Afryka. W słońcu czterdzieści stopni, może więcej – myślał, oblany potem. Kierowca taksówki jęknął głucho na przywitanie, potem kłął upał. Lewą ręką bez przerwy ocierał strugi potu, spływające mu na kark. Jerzy współczuł kierowcy, ale na napiwek zabrakło mu złotych, miał już tylko kilka dolarów i dwadzieścia koron. Trudno – pomyślał – przecież waluty nie dam.

W domu stwierdził z zadowoleniem, że dobrze się stało, iż trzy tygodnie temu, przed wyjazdem, zamknął szczelnie okna i zasunął gęste story. W mieszkaniu panował względny chłód... Dokładnie dwadzieścia trzy stopnie. Wziął prysznic, postanowił, że przed wieczorem nie wyjdzie z domu. Przyrządził sobie jedzenie z puszek, włożonych mu do torby przez Margaretę, wypił dużą kawę. W samolocie rozdawali polskie gazety, wziął się więc do czytania. Wiele aktualnych wiadomości znał z radia, które na Ingarö dobrze odbierało Warszawę. Teraz uzupełniał je; jednym się dziwił, na drugie zżymał, ostatecznie górę wzięła ciekawość: jak to też dalej będzie.

Podzwonił po znajomych, usłyszał najnowsze plotki; reagował łagodnie, pełen (jeszcze!) tamtego spokoju, ciszy, lasu i morza. Zdawał sobie sprawę, że długo tak nie wytrwa, szybko wpadnie w wir bieżących spraw, będą domagać się od niego mnóstwa odpowiedzi na mnóstwo pytań. Mimo wszystko zatęsknił już do pracy, kolegów i codziennych, ale przecież własnych problemów.

Późno już było, kiedy wyszedł na spacer. Swoim szarym volkswagenem podjechał pod rozległy park, ustawił wóz obok kiosku i wszedł między drzewa. Miały smutne, zeschnięte liście, które opadały co chwila jak krople deszczu. Pachniało jesienią.

Jerzy chodził pustymi o tej porze ścieżkami, rozmyślał trochę o najbliższych dniach. W parku nie było już nikogo; tak przynajmniej się wydawało. Zamyślony, nie zwrócił uwagi na człowieka, który od jakiegoś czasu szedł za nim krok w krok, trzymając się jednak w pewnej odległości. Człowiek ten dostrzegł go jeszcze przy kiosku; popatrzył na szarego volkswagena, potem przeniósł wzrok na jego właściciela. Pamiętał bujne, kasztanowate włosy i jasną kurtkę; noc była trochę chłodna. Człowiek zastanawiał się przez chwilę, coś widać rozważał. Potem chyba podjął decyzję, bo ruszył w głąb parku.

Na zakręcie Jerzy spojrzał w bok, zobaczył nieznanego mężczyznę, ubranego w ciemne spodnie i koszulę w brązowo-zieloną kratę. Drugi amator spaceru – pomyślał. Tamten zorientował się, że jest obserwowany, przyspieszył kroku. Był już teraz o dwa, trzy metry.

Znajdowali się na ścieżce, okolonej roslymi krzakami bzu; dalekie latarnie nie rzucały tu światła.

Jerzy pomyślał, że tamten czegoś chce, może zablądził albo zapyta o godzinę. Przystanął więc, odwrócił się w jego stronę. Ale obcy człowiek nie powiedział nic.

– Chciał pan czegoś? – spytał, zdziwiony tym milczeniem.

Przyglądał się twarzy przechodnia, próbując przypomnieć sobie, czy to nie jakiś dawny znajomy. Ale ta twarz, gładko wygolona, była zupełnie obca. Zaniepokoił się; wprawdzie silny, wysportowany, mógł stawić opór przy próbie napadu, nie lubił jednak bójk, awantur, tego wszystkiego, co kończyło się, powiedzmy, wybiciem zębów czy złamaną szczęką. Bał się odwrócić, cios w kark czy potylicę groził szpitalem... w najlepszym razie.

– Czy pan czegoś chce ode mnie? – powtórzył zniecierpliwiony.

Obcy podszedł teraz zupełnie blisko. Jerzy dostrzegł zmrużone, żółtawe oczy, pełne wścieklej nienawiści. To było kompletnie niezrozumiałe, nie znali się przecież, więc skąd te szatańskie błyski w żółtych jak u dzikiego zwierza ślepiach...

– Ty! – usłyszał wreszcie. – To ty.

– Ja. No i co z tego? – Jerzy rozgniewał się nagle. – Czego chcesz?

– Przyznajesz! – wykrzyknął obcy. – Przyznajesz, że to ty.

– Człowieku, a kimże mam być, jeśli nie sobą? Nie znam ciebie ani ty mnie. Odczep się.

Chciał, żeby tamten odszedł pierwszy. Mógł go wyminąć, ale wtedy odsłoniłby plecy i tył głowy.

– Ja cię znam – zamruczał mężczyzna. – Masz volkswagena. Szary. Stoi przy kiosku z gazetami.

Jerzy usiłował szybko przypomnieć sobie, czy jednak nie jest to ktoś znajomy, ktoś, z kim kiedyś zadarł, kogo może ubiegł w staraniu o stanowisko, o premię, lichy wie o co jeszcze.

– Skąd mnie znasz? Z fabryki? Ze studiów?

– Nie.

– Więc skąd? Odwal się, bo się naprawdę rozgniewam!

Cios spadł tak raptownie, że nie zdążył się uchylić. Zobaczył tylko błysk noża, uczył gwałtowny ból w piersi, zabrakło mu oddechu. Zwalił się na ziemię, tak zdumiony tym, co się stało, że nie próbował nawet się bronić. Szarpnął się tylko, chciał wstać, ale drugi cios przesłonił mu oczy mgłą. W ostatnim odruchu świadomości zobaczył nad sobą wilczy pysk ze zjeżoną sierścią i obłąkany nienawiścią wzrok. Potem nie było już nic.

Człowiek z twarzą wilka przez chwilę przyglądał się swojej ofierze, a widząc, że się nie porusza, podniósł się, zatoczył jak po wielkim wysiłku. Utrzymał jednak równowagę. Wytarł garścią zeschniętych liści sprężynowy nóż i schował go do kieszeni spodni, zapiąwszy ją starannie. Jeszcze spojrzął na leżącego, twarz znowu skurczyła mu się gniewem. Kopnął bezwładne ciało. Potem zaczął oddalać się szybkim, nerwowym krokiem; rozglądał się chwilami, aż znikł w ciemnej uliczce.

*

– Po cholere do parku? – zaprotestował kapral. – Żeby wypłoszyć jakąś sikse z chłopakiem spod krzaka? Przeszkadzają ci? Bo mnie nie. Co człowiek ma na tym świecie, jak nie trochę miłości. Za darmo, oczywiście.

Plutonowy był stanowczy. Chodziło mu nie tyle o miłość, ile o pół godziny odpoczynku na parkowej ławce. Choćby kwadrans. Plutonowy urodził się na wsi, pełne spalin miejskie powietrze wciąż budziło w nim odrazę.

– Do parku! – powiedział bezapelacyjnie. I ruszył pierwszy, zostawiając na ulicy radiowóz z podrzemującym kierowcą.

Szli wolno, kaprał przycichł, pogodził się z decyzją starszego kolegi, nawet zaczęło mu się tutaj podobać. Zapalili, poobgadywali szefów, przez chwilę spierali się o coś, ale przestali, bo im się znudziło. Minęli porzuconą przez kogoś budkę – właściciel zrezygnował ze sprzedaży, widać mu się nie opłacało. Doszli do krzaków bzu.

– Leży! – stwierdził kaprał z pewnym zdumieniem, takie to było nieoczekiwane w pustym parku.

– Nagła krew! Ale pociachany! – Plutonowy zbliżył się, pochylił. – Leć do Wojtka, niech zawiadomi dzielnicę. Albo nie, poczekaj... Niech da znać od razu do Mostowskich.

– Co ma powiedzieć? – Kaprał przestraszył się odpowiedzialności, jeszcze potem zrugają.

– No, nie widzisz? Oczu nie masz? Zadzgany nożem, jak mamę kocham. Leć, tylko nóg nie pogub.

Plutonowy włączył latarkę, bez której nie wyruszał na nocne patrole, i długą chwilę przyglądał się zabitemu. Był to mężczyzna jeszcze młody, na oko najwyżej trzydziestka, ubrany w dżinsowe spodnie i jasną kurtkę, rozpiętą na piersiach. Cały przód koszuli pokrywała ciemna, zastygła plama krwi. Milicjant ostrożnie sięgnął do kieszeni kurtki, natrafił na portfel, wyjął. Znalazł paszport, skierował na niego światło i czytał. W portfelu było też trochę obcej waluty – dolarów i koron szwedzkich. W drugiej kieszeni prawo jazdy, klucze, parę drobiazgów. Na ręku zegarek jakiejś zagranicznej marki, bransoletka z wyciśniętą grupą krwi. Jeszcze nie otwarta paczka papierosów skania, jeszcze ładna oksydowana zapalniczka.

Patrzył teraz na twarz zmarłego. Na wpół przymknięte powieki przysłaniały trochę oczy, chyba niebieskie. Włosy gęste, kasztanowate, bez śladu siwizny. Nos prosty, usta skrzywione jakby w ironicznym uśmiechu. Mimo śmiertelnej bladości można było dostrzec na twarzy jasnobrązową opaleniznę. Plutonowy westchnął, pokiwał głową. Pomyślał, że „kryminalny” będzie miał niewąski pasztet ze znalezieniem zabójcy. Bo że nie zamordował zwykły rabuś, tego podoficer był pewien. Nie zabrał przecież pieniędzy, zegarka, paszportu i innych wartościowych przedmiotów. Zabił – i odszedł.

Zemsta? Jakiś wariat, psychopata? Ale że też ten gość się nie bronił! Może było ich kilku. Wyskoczyli zniecacka i nie zdążył nawet podnieść ręki. Albo uciec. Krzyczeć... E, kto by tu usłyszał.

– Nie moja robota – mruknął. – Niech się martwią ci z kryminalnej, od tego są.

Zapalił radomskiego, usiadł na pobliskiej ławce. Czekał ponad pół godziny, zanim usłyszał głosy i kroki. Zobaczył mundur swojego kaprała, wysoką sylwetkę kogoś po cywilnemu, za nimi szli technik i fotograf. Wstał, zduśił papierosa; chciał niedopałek wetknąć w trawę, ale wtedy dostrzegł tam garść zwiniętych, czymś poczernionych liści. Schował więc peta do kieszeni.

– Tutaj – powiedział kaprał i cofnął się trochę, aby tamci mogli rozpocząć swoją robotę. Wysoki spojrzał w pierw na plutonowego, nie znali się. Wyciągnął rękę:

– Porucznik Marecki.

Uścisk był mocny, dłoń ciepła i sucha. Oficer miał twarz pociągłą, spaloną słońcem, włosy czarne, gładko przylegające do czaszki. Trochę za duży nos sprawiał, że twarz wydawała się chuda i drobniejsza, niż była naprawdę. Bystre szare oczy spoglądały uważnie na wszystko dokoła.

– Myślałem, że przyjedzie major Szczęsny – szepnął plutonowy do swego kolegi. Szept był cichy, ale porucznik usłyszał, odwrócił głowę.

– Podpułkownik Szczęsny – akcent na stopień był wymowny i plutonowy zmieszał się – objął stanowisko szefa wydziału zabójstw. Pułkownik Daniłowicz przeszedł na emeryturę. Powinniście to wiedzieć.

W głosie nie było przygany; ot, proste stwierdzenie faktu. Marecki przyklęknął obok trupa, zbadał go pobieżnie. Plutonowy podał mu paszport.

– Jerzy Ilnicki – odczytał oficer półgłosem. Przerzucił kilka kartek. – Właśnie dziś wrócił ze Szwecji. Interesujące.

Obejrzał inne przedmioty, fotograf w błyskach flesza robił swoje.

– To chyba... nie wiem, ale to krew? – Plutonowy położył na swojej chustce do nosa kłęb liści, podniesionych z trawy. Porucznik zaciekał się, wsadził niemal nos w liście. Popatrzył na zakrwawioną koszulę, znów przeniósł wzrok na chustkę.

– Pewnie wytarł w to nóż – zauważył technik. Ostrożnie wsunął całość do swojej torby. – Chustkę jutro – bąknął do podoficera. – W laboratorium. – Lubił mówić skrótami.

– Żadnych śladów walki – stwierdził oficer, rozglądając się dookoła. – Rozumiałbym, gdyby dostał gdzieś z tyłu, w plecy, ale tak? Przecież to nie żadne chuchro, chłop z dobrymi mięśniami.

– Może się znali. Poszli na spacer, a potem... Pedały?

Marecki wzruszył ramionami.

– Zobaczymy – odparł.

Samochód autotransu zabrał ciało do Zakładu Medycyny Sądowej. Ekipa śledcza wróciła do Pałacu Mostowskich. Plutonowy z kapralem udali się do swojej jednostki, aby wspólnie opracować meldunek z wydarzenia. W pustym parku pozostało tylko trochę śladów nóg na ścieżce i kilka kropel krwi, która na zawsze wsiąkła w piasek.

*

Szczęsny podjechał rano na plac przed Urzędem, wciąż jeszcze nie przyzwyczajony ani do stanowiska, które objął zaledwie tydzień temu, ani do stopnia, którego mu nie dawano tyle lat, choć należał się od dawna. Zwierzchnia władza oceniała go jako zbyt wielkiego indywidualistę, mało zdyscyplinowanego i tak dalej. Wreszcie pułkownik Daniłowicz, nękany od kilku lat reumatyzmem i innymi dolegliwościami, poprosił o zwolnienie ze służby. Zapytany przez szefa, kogo widzi na swoim miejscu, odparł bez wahania: „majora Szczęsnego”. Dodał też, że Szczęsnemu po prostu nie wypada zająć stanowiska kierownika wydziału zabójstw bez awansu do stopnia podpułkownika.

Teraz Szczęsny, przeskakując swoim zwyczajem o dwa stopnie, siedł do wydziału i zastanawiał się po drodze, czy jest z tej nowej sytuacji zadowolony, czy nie bardzo. Nie bał się odpowiedzialności; lata przepracowane w służbie kryminalnej nauczyły go tak wiele, że w Stołecznym Urzędzie Spraw Wewnętrznych nie miał sobie równych. Obdarzony ogromną intuicją, szybki w podejmowaniu decyzji, doświadczony, mógł śmiało kierować nawet największą jednostką.

Ale, co tu mówić, Szczęsny żałował tamtej roboty. Zdawał sobie sprawę, że teraz będzie już tylko kierował, siedząc przeważnie za biurkiem. Żałował nieprzespanych nocy, w ciągu których przebiegał puste, ciemne uliczki na peryferiach stolicy, odnajdywał jakieś zatarte ślady, chodził po melinach, strychach, piwnicach, gdzie krył się najgroźniejszy margines społeczny. Nieraz oberwał, dwukrotnie lekarze w szpitalu smętnie potrząsali nad nim głowami, mówiąc, że nic już z niego nie będzie...

Jakoś było. Wracał do służby i zaczynał wszystko od nowa. Tylko we włosach pojawiły się drobne pasemka siwizny, a przy skroniach i koło ust siateczka zmarszczek.

– Będzie ci się dobrze pracowało – powiedział Daniłowicz, kiedy urządzili mu koleżeńskie pożegnanie z alkoholem, a najgłośniejszy szef udał, że nie słyszy, nie widzi i

wyjatkowo wcześniej pojechał do domu. – Zespół znasz i chłopcy cię znają. No, prawda, jest dwóch nowych po akademii. Marecki i Adameczyk. Cóż, z nowymi zawsze z początku trudniej, nie wiadomo, co naprawdę umieją.

– To się okaże w praniu – mruknął Szczęsny. – Tak na oko Marecki jest chyba lepszy. Rzecz jasna, oprę się na starej gwardii.

– Radziłbym ci rzucić tych nowych od razu na głębszą wodę. W razie czego poprawisz, jeżeli sknocą. No, bracie, w twoje ręce! – uniósł kieliszek. – Zaczynasz nowy rozdział.

– Ale jednak żal – odparł Szczęsny. – Tamtych lat. Pamiętasz, jak pracowaliśmy nad „Adamasem”? Cholernie ciężko szło.

– A „Blady” i cały gang handlarzy narkotykami?

Zaczęli wspominać. Przyłączył się kapitan Połowski, potem reszta. Nowi z respektem (może udanym?) trzymali się trochę z boku. Jeszcze nie mieli wspomnień.

*

Porucznik Jan Marecki czekał na Szczęsnego z gotowym meldunkiem. Były już zdjęcia i tożsamość denata.

– Mów, potem sobie przeczytam – rzekł jego szef, który od pisaniny wolał żywe słowo.

– No, więc gość nazywał się Jerzy Ilnicki. Był inżynierem elektronikiem, pracował w przedsiębiorstwie Rekspart jako instruktor i konsultant. Ostatnie trzy tygodnie, od końca lipca do dwudziestego pierwszego sierpnia, przebywał w Szwecji, na prywatnym wyjeździe. Miał tam znajomych Szwedów. Wrócił wczoraj w południe samolotem Polskich Linii Lotniczych. Odnaleźliśmy taksówkę, która zawiozła go z Okęcia do mieszkania. Był kawalerem, zajmował dwa pokoje na trzecim piętrze wieżowca, zapisałem dokładny adres. Mieszkał sam. Co robił od momentu wejścia do domu...

– A skąd wiesz, że wszedł?

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI